

Niesamowita Azja Południowo-Wschodnia

Indonezja, Dżakarta



Krzysztof Danielewicz



Security
in practice

Indonezja – wiele cudownych krain w jednym państwie (Jakarta)

Sierpień 2024 r.

Do Indonezji leciałem liniami AirAsia z Brunei, co ciekawe, miałem przyjemność lecieć symbolicznym, inauguracyjnym lotem, który łączył obydwie państwa. O tym fakcie dowiedziałem się już w samolocie, kiedy zostałem zapytany czy zgodziłbym się na przyjęcie kwiatów, prezentu od linii AirAsia oraz zdjęcia pamiątkowego z załogą samolotu i jeszcze jednym pasażerem. Przed lądowaniem na międzynarodowym porcie lotniczym Dżakarta-Soekarno-Hatta, zostaliśmy poproszeni o zajęcie miejsca z przodu samolotu, skąd później poprowadzono nas na spotkanie z indonezyjskim oficjelem, wręczono kwiaty, tradycyjny, długi wieniec z kwiatów, upominek od linii oraz wykonano zdjęcia. Po wszystkim bardzo miło nas pożegnano, a ja ruszyłem dokonać lotniskowych formalności.



Zdjęcie 1.

Indonezja (oficjalnie Republika Indonezji) jest wyspiarskim państwem, które leży w Azji Południowo-Wschodniej oraz Oceanii, otoczonym Oceanem Indyjskim od zachodu i Oceanem

Spokojnym od wschodu. Republika składa się z niebagatelnej ilości 17 508 wysp, z których część nie ma nawet nazw, a zamieszkałych jest około 6 tysięcy. Do bardziej znanych należą np. Borneo, Jawa, Sumatra, Celebes, Bali, Komodo czy Nowa Gwinea. Powierzchnia Indonezji to niewiele ponad 1.9 miliona km², którą zamieszkuje niespełna 278 milionów ludzi z ponad 300 grup etnicznych, wielu grup językowych oraz religii – przy czym mieszka tutaj największa liczba muzułmanów na świecie! Co ciekawe, około połowa mieszkańców zamieszkuje na Jawie.

Stolicą państwa póki co jest Dżakarta (położona na północnym wybrzeżu Jawy), jednak w toku są już zakrojone na szeroką skalę procesy budowy nowego miasta stolicznego Nusantara – w dość kontrowersyjnym miejscu, ponieważ w środku lasu równikowego na wyspie Borneo. Władze Indonezji zapowiedziały plan w 2019 roku, prace budowlane wystartowały w 2022 roku, a prezydent decyzję uzasadnił m.in. znacznym zanieczyszczeniem Dżakarty, przeludnieniem, poważnymi korkami i, co najgorsze, poważnymi powodziami, które zalewają miasto (w związku z bardzo wysokim poziomem wód gruntowych) oraz zagrożeniem sejsmicznym. Nowa stolica – zeroemisyjna, zielona i przyjazna środowisku, miała być gotowa na 17 sierpnia 2024 roku, jednak póki co nie doszło to do skutku (a piszę to 4 stycznia 2025 roku).

Obowiązującą w Indonezji walutą są rupie indonezyjskie (IDR), których kurs do złotówki wynosi 10000 IDR – 2.56 PLN. Gospodarka Indonezji jest największą w regionie Azji Południowo-Wschodniej, opiera się głównie na przemyśle oraz rolnictwie. Językiem urzędowym jest indonezyjski, a posługuje się nim około 249 milionów mieszkańców państwa, lecz ze względu na bardzo wiele grup etnicznych zamieszkujących wyspy, język ulega wpływom regionalizmów.

Wróćmy jednak na lotniskowy terminal – wylatując z Brunei dostałem informację, że wymagany jest bilet wylotowy z Indonezji, jednak udało mi się wytłumaczyć z jego braku. Strażnicy graniczni z Indonezji nie byli względem mnie już tak wyrozumiali – brak biletu wylotowego mógł się dla mnie skończyć nałożeniem wysokiej kary finansowej, więc zmuszony byłem szybko nabyć bilet na samolot do Singapuru, skąd miałem zamiar kierować się w podróż powrotną do Polski. Presja czasu była duża, ale udało mi się dość szybko nabyć bilet.

Opłaciłem wizę (od kwietnia 2022 roku obywatele Polski mogą wjechać do Indonezji na 30 dni z wizą turystyczną), która kosztuje 500 000 IDR, kupiłem na lotnisku kartę SIM jednego z lokalnych operatorów i wymieniłem walutę. Niedługo później byłem już w taksówce, której

kierowca wiózł mnie do hotelu. Na miejsce dotarłem około 01.00, na szczęście hotel okazał się być bardzo czysty, a pokój komfortowy i wygodny. Przez późne dotarcie na miejsce, postanowiłem chwilę dłużej pospać, aby mój organizm się zregenerował – na miejskie włóczęgostwo udałem się więc dopiero około 13.00, ale byłem wyspany i wypoczęty. Poszedłem na Plac Niepodległości - Medan Merdeka, gdzie znajduje się ogromnych rozmiarów obelisk na platformie, który wznosi się 132 metry ponad ziemię i upamiętnia walkę Indonezyjczyków o wolność. W platformie, z której wznosi się ku niebu obelisk znajduje się muzeum, można z niej też podziwiać miasto – bilety kosztują 8 000 rupii (wstęp do muzeum i na parter pomnika) oraz 24 000 rupii (wstęp na taras widokowy). Co ciekawe, na szczycie obelisku znajduje się Płomień Niepodległości (wysokość 14 metrów, średnica 6 metrów), który pokrywa folia ze złota o wadze 50 kilogramów! Plac Niepodległości w Dżakarcie zajmuje powierzchnię 1 kilometra kwadratowego, co odpowiada... 100 hektarom, co czyni go jednym z największych podobnych miejsc na świecie! Nie mniej jednak, wokół pomnika znajduje się park, przed którym ustawionych było wiele różnej maści straganów, tuk-tuki i dorożki konne – wszystko raczej bez założenia czy planu, co dawało wrażenie, że Dżakarta jest znacznie mniej zorganizowana niż Kuala Lumpur, o Singapurze nie wspominając. Zobaczmy, jakie wrażenia odniosę po dłuższym czasie.

Ze względu na późną pobudkę nie zdążyłem już wejść do muzeum i na platformę, obiekt czynny jest od 8.00 do 16.00 (oprócz poniedziałków), a ja koniecznie musiałem wcześniej wejść do kawiarni i obowiązkowo wypić podwójne espresso – wtedy poczułem, że ożyłem po podróży. Obszedłem Medan Merdeka i pokierowałem się do największej świątyni muzułmańskiej w całej Azji Południowo-Wschodniej i dziewiątej na świecie - Meczetu Niepodległości (Masjid Istiqlal). Różne źródła wskazują, że w meczecie i na przylegających do niego placach (podzielonych na niewielkie kwartały, idealne na jednego modlącego się) może jednocześnie modlić się od 120 000 do 250 000 wiernych, co jest naprawdę niewiarygodne! Budowa meczetu rozpoczęła się w 1961 roku, budowa trwała 17 lat, a inauguracja odbyła się 22 lutego 1978 r.











Zdjęcia 2-9

Miałem ogromne szczęście, że udało mi się wejść do meczetu – przybyłem do niego o godzinie, w której już nie wpuszczano zwiedzających, jednak imam, kiedy dowiedział się, że jestem sam

– poprosił mnie, abym dołączył go grupy młodych turystów z Niemiec, którzy przybyli tutaj z przewodnikiem. Meczet z zewnątrz nie wyglądał jak „typowa” świątynia tego typu, a po wejściu do środka miałem jedną myśl – to największy meczet jaki moje oczy kiedykolwiek widziały! Po drugiej stronie ulicy znajduje się stara katolicka katedra, a także kościół reformatorów. Słuchając przewodnika niemieckiej grupy dowiedziałem się, że jest to celowy zabieg indonezyjskiego rządu, któremu zależy na zgodzie i tolerancji religijnej. Podczas świąt katolickich, meczet udostępnia place, aby wierni katolicy mieli gdzie parkować auta.













Zdjęcia 10-16

Po zwiedzeniu meczetu i katolickiej katedry, udałem się spokojnym krokiem do hotelu, po drodze obserwując życie Dżakarty. W sieci czytałem, że stolica Indonezji jest ponad wszelką

miarę zatłoczona i zakorkowana, jednak z moich doświadczeń wynika, że nie bardziej niż inne azjatyckie miasta, jak na przykład Hanoi, Sajgon czy Bangkok. W Dżakarcie widać ogromne rozwarstwienie – przenikają się tutaj pnące się ku niebu drapacze chmur, ekskluzywne hotele i apartamentowce, drogie auta, których kierowcy wyglądają na bardzo zamożnych, ale jest i ogromna nędza – bezdomni ludzie i żebracy, budynki mieszkalne w dramatycznym stanie i sterty śmieci. Ludzie, bez względu na zasobność portfela czy status społeczny, są bardzo mili, przychylni i pozytywni, mimo warunków, w jakich przychodzi im toczyć życie.

Miasto tętni życiem, zarówno tym zmotoryzowanym, jak i pieszym – znajdziemy tutaj szerokie, wielopasmowe arterie, jak i wąskie dróżki, biegnące zawijasami między domostwami czy ścieżki tak wąskie, że mijające się z przeciwka dwie osoby, mają problem z przejściem. Klimat jest bardzo zbliżony do rozgardiaszu i luzu, którego zaznałem w Wietnamie. Zauważyłem, że poziom znajomości języka angielskiego przez mieszkańców Dżakarty jest znacznie niższy i rzadszy niż na przykład w Kuala Lumpur. Miasto zrobiło na mnie średnie pierwsze wrażenie, ale z przewagą pozytywów niż negatywów.







Zdjęcia 17-20

Kolejny dzień w Dżakarcie postanowiłem rozpocząć w rejonie parku, który otaczał pomnik Monumen Nasional, zwany przez lokalsów Monas. Można było wjechać windą na wysokość 110 metrów i z wnętrza obelisku podziwiać panoramę stolicy – uwielbiam takie okazje, dlatego postanowiłem skorzystać - tym bardziej, że słoneczna pogoda gwarantowała świetną widoczność. Kiedy wchodziłem do parku zauważyłem tłumy Indonezyjczyków, którzy piknikowali w cieniu drzew – uświadomiłem sobie, że jest niedziela, co mogło być równoznaczne z kolejkami do wjazdu na taras widokowy. Rozejrzałem się, jednak z daleka sytuacja nie wyglądała źle – nie widziałem tłumów. Poszedłem w kierunku wejścia, które było chwilowo zamknięte, celem rozładowania całego tłumu ludzi, który był wewnątrz. Setki ludzi kłębiły się w środku bez ładu, nie było nikogo, kto zarządzałby kolejką, wszyscy stali jakby byli pierwsi. Kiedy obsługa odsunęła kratę, pewnie do zejścia w kierunku wind, poszedłem z tłumem na dół, gdzie panował nie mniejszy rozgardiasz – część ludzi miała bilety elektroniczne, wielu – podobnie jak ja – chciało nabyć wejściówki w kasach biletowych. Z głośników nadawano komunikaty głosowe, których nikt nie zrozumiałby nawet, gdyby wsłuchał się w ich treść... to było dla mnie zbyt wiele. Po 5 minutach stania w kolejce

doszedłem do wniosku, że jak najszybciej muszę się stamtąd oddalić – nie znoszę tak zatłoczonych miejsc i totalnego chaosu organizacyjnego.





Zdjęcie 21-24

Celem schłodzenia ciała i uspokojenia się od gwaru i tłoku, poszedłem na kawę i wodę kokosową – żar lał się z nieba. Po napitkach postanowiłem złapać GrabTaxi, aby udać się na wybrzeże – na mapie zauważyłem, że był tam oznaczony jakiś duży teren zielony o nazwie Ancol – spodziewałem się jakiegoś dużego parku. Po dojechaniu na miejsce mocno się

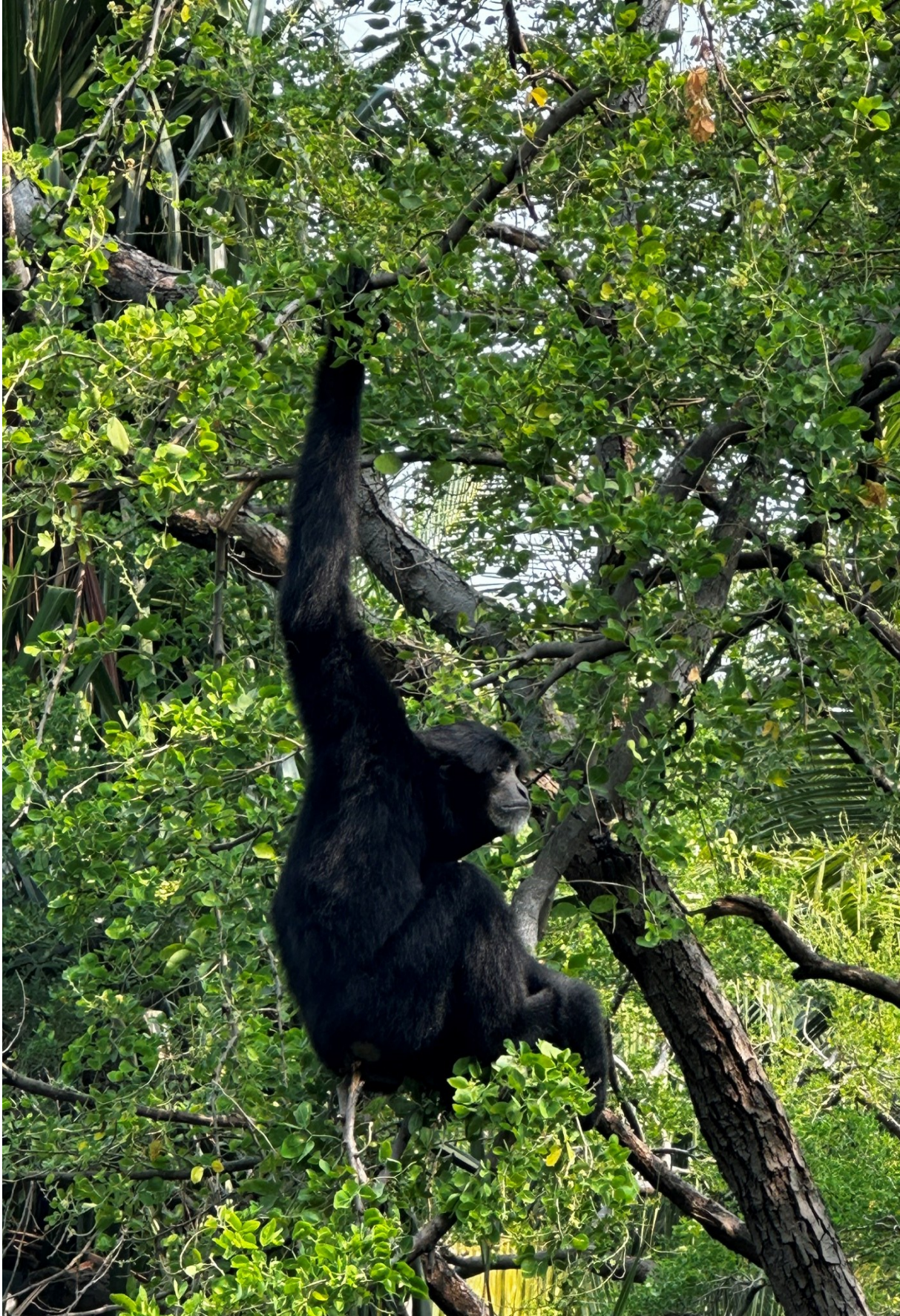
zaskoczyłem – teren był bardzo zdewastowany, zobaczyłem oznakowanie z napisem „Marina Ancol” i jakieś bezładne wypożyczalnie sprzętu wodnego, kawiarnie – ogólnie panował tutaj bałagan i nieład. Obok zauważyłem wesołe miasteczko, Eco Park, mini zoo, hotel, centra handlowe, które były oddzielone od siebie różnego rodzaju ogrodzeniami – nie bardzo wiedziałem, jak można dojść do poszczególnych miejsc i szukać tam czegoś ciekawego. Nad moją głową poruszała się z wolna kolejka gondolowa, która transportowała ludzi między wskazanymi wyżej obiektami. Szczerze powiedziawszy, kiedy udało mi się dojść do Eco Parku, zauważyłem fragment zbiornika wodnego z wyspą, na której były małpy – co jednak i tak nie wywarło na mnie pozytywnego wrażenia. Nic tutaj nie miało większej wartości dla osoby odwiedzającej stolicę Indonezji – wszędzie porzucane były śmieci, a ogromna połączona ziemia, która mogłaby być zieloną wizytówką nabrzeża, nie napawała optymizmem – była zaniedbana i pozostawiona sama sobie i ludziom, którzy jej nie szanowali, a traktowali jak śmietnik i toaletę, totalnie przerażające.











Zdjęcia 25-32

Kolejnym miejscem, które miałem w planach odwiedzić, było Stare Miasto w okolicy Fatahillah Square, które pamiętało jeszcze czasy kolonialne, kiedy władzę nad państwem dzierżyli Holendrzy. Wiekowa dzielnica znana jest pod dwoma nazwami – Batavia oraz Kota Tua. Kiedy pierwszego dnia w Dżakarcie wpisywałem w przeglądarkę Google hasło „stare miasto Dżakarta” wyniki nie wskazywały nic konkretnego, dlatego warto szukać jej pod dwoma wyżej wskazanymi hasłami. Najszybciej dostaniemy się tam taksówką, której kierowcy podamy adres Cafe Batavia. Miejsce to, zlokalizowane wewnątrz pięknego, zabytkowego budynku, łączy restaurację i bar, a jego mury pamiętają słusznie minione czasy kolonialne. Cafe Batavia było pierwszym miejscem w Dżakarcie, które na pierwszy rzut oka miało (w mojej ocenie oczywiście) duszę i klimat, co tchnęło we mnie optymizm, że spotkają mnie tutaj jeszcze pozytywne doświadczenia. Przy restauracji znajduje się duży plac, wokół którego dumnie stoją stare, ale bardzo dobrze utrzymane budynki dawnej administracji kolonialnej, porozdzielane zachęcająco wyglądającymi uliczkami, łączącymi się na placu. Jako że była niedziela, na placu było zatrzęsienie ludzi, zauważyłem wielu ciekawie wyglądających mimów, zastygniętych w różnych pozach, wiele wypożyczalni stylowych rowerów i, co ciekawe, kapeluszy czy zespoły muzyczne i solistów grających na różnorodnych instrumentach. Dosłownie każdy metr kwadratowy placu był zajęty przez stojących i siedzących ludzi, a im później było, tym większy tłum tutaj ścigał. Opodal placu był stary, ale dalej czynny dworzec kolejowy i kilka kawiarni, w jednej z nich postanowiłem napić się kawy, która okazała się być bardzo dobra, choć palmę pierwszeństwa dzierżyła w tym aspekcie Cafe Batavia.

W środku restauracji było dosłownie rewelacyjnie, zupełnie jakby czas się tutaj zatrzymał. Każdy element, począwszy od wystroju, mebli, po stroje obsługi, które utrzymane były w starym, kolonialnym stylu. Jakość obsługi, serwowane dania i napoje były na najwyższym, światowym poziomie – ceny także były wyższe, ale do zaakceptowania, biorąc pod uwagę jakość usług. Miałem okazję napić się dobrego, lokalnego piwa, wypić kawę, podaną z lodami z awokado oraz zjeść wyborną jagnięcinę. Wizyta i posiłek w Cafe Batavia były moim najlepszym doznaniem kulinarnym od kilku miesięcy, a dodatkowo menadżer lokalu zapraszał, aby zostać do 20.00, kiedy lokalny zespół muzyczny miał dawać koncert na żywo.

























Zdjęcia 33-48

Wspaniale najedzony, pokrzyżłem jeszcze po tętniącym życiem placu i sam stałem się atrakcją! Wielu młodych ludzi, ale nie tylko, chciało sobie zrobić ze mną zdjęcie, udzieliłem też wywiadu grupie studentów. Szczególnie miło będę wspominał grupę skautów, z którymi mam dziesiątki zdjęć. Do wspólnych fotografii zaprosiła mnie też grupka dzieci, które później przedstawiły mnie głowie rodziny – Hermanowi, z którym też (jakże by inaczej!) mam zdjęcie, na końcu dołączyła do nas mama dzieci i żona Hermana – wszyscy ponownie pozwaliśmy do pamiątkowej fotki. Przemiełe doświadczenia! Po 4 czy 5 godzinach spędzonych w okolicy placu, zamówiłem GrabTaxi i udałem się w kierunku hotelu. Zza szyby taksówki miałem okazję popatrzeć na różne dzielnice, które mijaliśmy na trasie – większość z nich prezentowała się bardzo źle lub źle. Co do zasady, staram się nie pisać negatywnie o żadnym z krajów, do których niosą mnie moje podróżnicze ścieżki, ale stolica Indonezji, choć spędziłem tutaj tylko dwa dni, nie prezentowała się dobrze, nawet porównując ją do Kuala Lumpur. Zgoła inne zdanie zyskałem o mieszkańcach Dżakarty, którzy byli bardzo mili, przyjaźnie nastawieni do przybyszów z różnych zakątków świata, uczynni i otwarci – spotykałem się tutaj z uśmiechami i wesołym przyjęciem na każdym kroku.

Jeszcze w Cafe Batavia, menadżer polecił mi miejsce o nazwie Sunda Kelapa, które było portem z czasów kolonialnym, leżącym w lejkowatym (powstałym w wyniku działania pływów morskich) ujściu rzeki Ciliwung. Miałem nadzieję, że mój łut szczęścia w Dżakarcie się utrzyma – spodziewałem się spokojnych, nadmorskich widoków. Port leżał z Zatoce Dżakarta, która później przechodziła w Morze Jawajskie – zapowiadało się ciekawie.

Kolejnego, ostatniego już mojego dnia w Dżakarcie, udałem się taksówką do poleconego portu – jakież było moje rozczarowanie, kiedy zobaczyłem zdegradowany teren, warczące ciężarówki i niewielką nadmorską strefę przemysłową z kontrolowaną strefą dostępową. Kierowca z GrabTaxi od początku przejazdu nie miał pojęcia, gdzie ma mnie zawieźć, kurczowo trzymając się mapy z aplikacji. Widać było, że zna Dżakartę w podobnym stopniu, w jakim odnajduję się w niej ja. Im bliżej wody się znajdowałem, tym bardziej utwierdzałem się w przekonaniu, że nie zaznam tutaj niczego, czego spodziewałem się wczoraj.

Pobyt w porcie nie miał najmniejszego sensu i był stratą czasu, dlatego poprosiłem kierowcę, aby dowiózł mnie do dżakarckiego China Town, które podobno było warte odwiedzenia. Po dojechaniu na miejsce, co zajęło nam około 15 minut, wysiadłem z taksówki i zobaczyłem typową, dla każdej chińskiej dzielnicy, w której zdarzyło mi się być, bramę wjazdową, obok której znajdowała się ciekawie wyglądająca herbaciarnia – Pant Joran Tea House. Miejsce zostało zbudowane w sercu Starego Miasta, z misją zachowania chińskiego dziedzictwa i miłości do herbaty. W środku można nie tylko wypić różne rodzaje wspaniałych naporów, ale i zyskać wiedzę dotyczącą historii i warty odwiedzenia miejsc w Dżakarcie. Wnętrze herbaciarni było niewielkie, ale bardzo stylowe i wykonane z dbałością o każdy detal, zdawało się, jakby od co najmniej stu lat nic się tutaj nie zmieniło. Kilka stolików było ulokowanych na parterze i piętrze lokalu, można było również zająć miejsce przez herbaciarnią, co zrobiłem. Ze stolika, który wybrałem, miałem widok na bramę wjazdową do China Town, słuchałem gwaru ulicy, obserwowałem mieszkańców dzielnicy i turystów. Obok mnie, na zamówienie czekała para, która okazała się być z Polski – mam na tym wyjeździe szczęście do spotykania rodaków. Czekaając na herbatę i zamówione danie obserwowałem starszego Chińczyka, który zaczął parzyć herbatę polskiej parze – zaczął od wyparzenia wszystkich naczyń wrzątkiem, zalał nim również czajniczki z liśćmi herbaty i pierwszy napar wylał. Dopiero drugi (i trzy kolejne) odwary służyły do picia, a służyły do tego niewielkie, porcelanowe filiżanki i naczynie, które wyglądem przypominało kieliszek. Starszy Pan wlewał herbatę do kieliszka, przelewał ją do filiżanki, wachając później aromat cieczy, który pozostał w kieliszku – jak się okazało, było to tradycyjne okazanie szacunku właścicielowi plantacji, z której liście zaparzano. Możliwość

obserwowania pietyzmu, z jakim Chińczyk podchodził do tak – wydawałoby się, prozaicznej czynności, jaką jest parzenie herbaty, było dla mnie naprawdę ciekawym i uspokajającym doświadczeniem, za które byłem wdzięczny losowi.









Zdjęcie 49-54

Po zjedzeniu smacznego posiłku i wypiciu aromatycznej herbaty, udałem się na zwiedzanie chińskiej dzielnicy, co zwykle oznacza gwar, mnogość aromatów ze straganów gastronomicznych, egzotyczne produkty i mniejsze czy większe świątynie zlokalizowane w wąskich uliczkach. Ulica, na którą wszedłem głównym wejściem miała około 400 metrów długości, odchodziło od niej kilka długich ulic, na których odbywał się handel – można tam było kupić niemal wszystko, jak możecie się domyślać. Przy głównej ulicy było kilka aptek i sklepów z produktami tradycyjnej, chińskiej medycyny – wszystkie sklepy były pod wykuszami, więc deszcz nie utrudniał, a słońce nie paliło kupujących i sprzedających w karki. Kilka sklepów wyglądało, jakby od wieku nie zmieniło się w nich nic, prócz osób za ladą – we wnętrzach były drewniane meble, na których wypalone były chińskie napisy – panowała w nich jakaś magiczna atmosfera, muszę przyznać. Minąłem duży dom towarowy, który był schludnie wykończony w chińskim stylu. Na pierwszy rzut oka, dzielnica chińska w Dżakarcie była o wiele lepiej zorganizowana niż typowe dzielnice indonezyjskie, było tutaj też w miarę czysto – uznałem ją więc za miejsce godne polecenia.













Zdjęcia 55-62

Po obejściu chińskiej dzielnicy, postanowiłem udać się w rejon Cafe Batavia, który znajdował się około jednego kilometra spacerem. Był poniedziałek, ilość osób tutaj znacznie zmalała, a część punktów handlowych była zamknięta. Zamówiłem taksówkę i wróciłem do hotelu, gdzie naładowałem nieco telefon i udałem się na spacer po mojej dzielnicy. Zmierzchało już, a dzielnica, w której miałem hotel była na pewno bogatsza i wyraźnie bardziej luksusowa niż miejsca, które mijałem wczoraj w taksówce. W świetle latarni i świateł witryn sklepowych wszystko tutaj wyglądało dość przyjemnie. Kolejny raz doświadczyłem, że pierwsze - raczej negatywne wrażenia, zamieniają się na pozytywne – potrzeba na to tylko czasu i otwartości na rzeczy, do których nie przywykliśmy. Dosłownie 50 metrów od hotelu naszedłem na fantastyczną indonezyjską restaurację, gdzie zamówiłem z ryżem, przy czym całe danie było bardzo ciekawie przygotowane. Fragmenty upieczonej, pozbawionej wcześniej ości (i pysznej, jak się później okazało, ryby) były ułożone na szkielecie – wszystko wyglądało, jakby ryba była upieczona w całości. Spodziewałem się, że będę musiał rybę obierać – jak zazwyczaj bywa, a tu okazało się, że mam na talerzu pyszne mięso, w którym nie muszę szukać ości –

fantastyczne zaskoczenie! Obsługa w lokalu była naprawdę świetna, a rachunek bardzo normalny.











Zdjęcia 63-69

Najedzony, wyszedłem z restauracji i spacerując powoli, zacząłem dostrzegać ciekawe miejsca – była tutaj ogromna sala fitness, której żałowałem, że nie zauważyłem wcześniej! Moim oczom ukazał się budynek, który przypominał luksusowe centrum handlowe, nad wejściem wisiał szyld z napisem „Sarnak”- po wejściu okazało się, że jest to absolutnie fantastyczna, średniej wielkości, galeria handlowa. W galerii można było kupić wszystko, co dotyczyło kultury indonezyjskiej - tradycyjne ubiory dla kobiet i mężczyzn, świetne torby, biżuterię, różne kawy i herbaty oraz mnóstwo oryginalnych souvenirów. Wszystko było najwyższej jakości i w umiarkowanych cenach - idealne miejsce na ostatnie zakupy przed powrotem do domu. Poczyłem zakupy – nabyłem między innymi słynny rodzaj kawy Kopi Luvak, za smak której odpowiadają cywety, które zjadają ziarna kawy, przepuszczają ją przez układ trawienny i... wydalają ziarna, które zyskują dzięki tej podróży znakomity smak. Ziarna Kopi Luvak osiągają astronomiczne ceny, za filiżankę naparu z tych ziaren trzeba zapłacić około 50 złotych, ale byłem w kraju, który jest jej domem!





Sarunah



Zdjęcia 70-73

Kolejnego dnia, po śniadaniu, wziąłem taksówkę i pojechałem na lotnisko, z zamiarem lotu na Komodo. Jadąc taksówką, ponownie miałem okazję obserwować życie Dżakarty i muszę stwierdzić, że zacząłem mieć pozytywne wrażenia – było to bardzo dynamiczne miasto, w którym mieszkali doświadczeni historią, ale sympatyczni i pozytywni ludzie.

Myślę, że część Polaków powinna tu przyjechać i zobaczyć na czym polega bieda i optymizm, szczególnie tych którzy wiecznie narzekają na nasz kraj i swój los. Oglądając życie biednych Indonezyjczyków, ma się wrażenie, że żyjemy w jednym z najwspanialszych krajów na świecie, nawet przy wszystkich jego mankamentach – czy jako Polacy kiedykolwiek nauczymy się cieszyć tym, co mamy, a nie tylko utyskiwać? Mam nadzieję!

Do zobaczenia na Komodo!

